№ 10. Warszawa, dnia 23 Lutego (7 Marca) 1895 r. Rok XXXI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Wykształcenie umysłu jako pomoc dla życia.

Na wykształcenie moralnej i intelektualnej istoty człowieka składa się bardzo wiele wpływów nietylko oddziaływających wprost na umysł, ale i przez wrażenia życia zwłaszcza odbierane w wieku młodym, gdy istota nasza duchowa nie jest stale uformowaną i kształtuje się dopiero pod siłą wywieraną przez otoczenie. Nagięcia pierwsze mają tu moc przeważną, bo niełatwo zmieniamy pojęcia raz nabyte, gdyż i umysł ulega nawyknieniom, potrzeba też patrzeć na życie z pewnego obranego punktu, jak to każdy człowiek myślący wie i czuje. Mała tylko liczba ludzi z wyższym myśli polotem umie się podnieść po nad tę moc bierną, a najważniejszą siłą wpływu są tu wrażenia odbierane wtedy, gdy umysł nie wytworzył sobie jeszcze przekonań stałych o życiu i nagina się pod naporem tego, co przynosi mu świat przez przykłady stawiane przed oczy. Rodzice, nauczyciele wiedzieć to powinni, zadanie to obowiązuje ich jednakowo, bo dla dziecka nie znającego jeszcze kanonów życia, wszystko co mu się przedstawia przed oczy — wszystko co myśl uderza, jest objawieniem jakiejś strony życia i trzeba też, aby się to działo w oświetleniu odpowiedniem.

Pedagog francuzki wyższego znaczenia, alzatczyk z rodu, M. Spuler, przedstawił społeczeństwu swemu jako przykład w tym zakresie obraz z własnego życia: „Mówić o sobie ciężko jest i trudno, czynię to przecież ze względu, że szczegóły mego życia mogą się stać nauką dla niejednego. Urodziłem się wśród warstw społeczeństwa ubogich i pracujących, rodzice moi należeli do najniższych i wychowywałem się w sklepiku małego miasteczka, a tak ojciec mój jak i matka zarabiali nie lekko z dnia na dzień na chleb powszedni dla siebie i dzieci. Ale od pierwszego dnia ich połączenia się ze sobą nie opuściła ich ani na chwilę myśl, aby dzieci ich wyszły na ludzi uczciwych i pożytecznych społeczeństwu. Na to też pracowali, z tą myślą czynili ofiary nieustanne, aby te dzieci mogły otrzymać wykształcenie umysłu takie, przez które człowiek wznosi się do tych sfer istnienia, wśród których myśli on już i czuje podnioślej — patrzy na życie z górniejszego punktu istnienia ludzkiego“.

Podstawą życia, które pragnie być szlachetnem, jest przeniknięcie się tą ideą, że postęp to konieczność, bo inaczej duch ludzki gnuśnieje, a że ruch jest zasadniczym warunkiem życia, kto nie posuwa się naprzód, cofa się w tył. Oświecenie umysłu nie powierzchowne to grunt pod wszelką dodatnią działalność człowieka, bo rozjaśnienie poglądów na życie, wykazujące nam jakie były koleje istnienia ludzkości i jakie być powinny, już nam dążyć każe naprzód, więc ukazuje przestwory życia szersze, ale potrzeba czuwać pilnie w jakim mianowicie kierunku posuwanie to naprzód odbywać się powinno? Wykształcenie moralne może tego dokonać jedynie. Kto zdobywa sobie wiedzę tylko jako czynnik pomocniczy dla pozyskania środków materyalnego dobrobytu, nie zyskuje dla ducha swego nic, coby go podniosło i dawało mu te szlachetne rozkosze, uszczęśliwiające przez rozszerzone pojęcie celów życia. Kształcenie młodzieży nie przeważnie z myślą praktycznych życia nabytków, materyalnego dobrobytu, materyalnie wyższego stanowiska, jest tak obowiązkiem społecznym jak obowiązkiem rodzinnym, trzeba przecież na to nietylko słów pięknie brzmiących. Przykłady życia rodziców wywierają tu wpływ najważniejszy, jest też ich obowiązkiem przedstawiać istocie młodej wzór istnienia uczciwie, rozumnie pędzonego i na tej to podstawie Mirabeau nazwał ich państwowemi urzędnikami moralności, jak też jest niewątpliwie, bo sprawiają w społeczeństwie swojem urząd najważniejszy kształcenia ludzi na czynnych, rozumnych obywateli i tą myślą powodowany wyrzekł zdanie po wieki wieków prawdziwe: „Posiadacie w społeczeństwie te same prawa, spełniacie obowiązki pracy obranego zawodu a przecież należy wam wiedzieć i pamiętać, że zajmujecie w narodzie miejsce zupełnie oddzielne, tak jak oddzielnym jest wasz dział pracy. Jesteście ludźmi szeroko pojmującemi idee i zadania życia bezinteresowne, trzeba wam zatem przez obowiązek szlachetnie spełniany natchnąć szacunkiem całe otoczenie wasze i żyć dla bliźnich, żyć dla spraw ludzkości podniosłych i gdyby tak się działo w ogóle rodzin, egoizm zniknął by ze świata.“

Jakkolwiek silnem jest przywiązanie człowieka do przeszłości, której jest synem, trzeba nam żyć w teraźniejszości a pracować dla przyszłości. Wtedy to wykształcenie staje się wpływowem, wtedy też jest zasługą wyższą.

Wykształcenie estetyczne, to jest rozbudzone odczucia piękna, ma dla życia naszego znaczenie bardzo wielkie, bo wtedy widok piękności daje nam uradowanie szlachetne, które podnosi nas po nad sferę życia poziomą, pospolitą i każe szukać tego co jest wdzięczne i wzniosłe, więc czyste. Wyobraźnia nasza bierze zatem lot wyższy i nie pełza już przy ziemi, wyrobienie smaku szlachetne oddziaływa zatem i harmonia tkwi w każdej cnocie, można też twierdzić, iż jest istotą samą cnoty każdej i kto nie ukocha ładu, nie jest zdolnym żyć wedle tych kanonów, które stają się w nas uczuciem obowiązku. Szyller miał to niewątpliwie na myśli, gdy wołał do mistrzów sztuki: „Godność ludzi spoczywa w rękach waszych i pielęgnujcie ją też troskliwie, bo z wami się ona obniża i wznosi się z wami“. Można też dodać, że dzieje się tak i ze szczęściem; bo nie ma, nie może go być tam, gdzie jest nieład, więc zamięszanie, brak tej harmonii, bez której nie może być w życiu ludzkiem słodkiego spokoju, zadowolenia zupełnego.

Przecież wiemy, czujemy że podporą powinna tu być wiedza naukowa, która by użyźniła życie nasze nie przez same pożytki, jakie w skutek wiadomości swoich dać nam może, ale przez rozwój umysłowy, przez uszlachetnienie następne istoty naszej, patrzącej wtedy na życie z wyższego punktu istnienia i ogarniającej przez to szersze jego przestwory. Nauka, która nie działa na umysł w skutek taki, jest czczą i bezsilną, bo nie ma wpływu na wolę naszą, nie daje nam zatem rozpoznania tego, co jest godnem wiedzy naszej, a co nie zasługuje na to, abyśmy jej poszukiwali. Wywieranie przez naukę wpływu moralnego nie dziś zostało uznanem, Czacki już wykazywał, jak człowiek ukształcony staje się lepszym, dostojniejszym, przez dokładniejsze zrozumienie życia, jak łagodnieje i umie sądzić bezstronniej otaczające go stosunki. Konarski przypominał też nauczycielom, że ucząca się młodzież rośnie dla społeczeństwa ludzkiego, do tego więc „co najszacowniejszego w niej jest za lat młodych ma się sposobić, to znaczy do prawdziwego zachowania przyjaźni nie ze złemi, niecnotliwemi ludźmi, bo tych przyjaźni jak ognia i trucizny strzedz się rozum każe, ponieważ z jakim przestajesz, takim się stajesz“.

Ale takich należy szukać, którzy są „poczciwymi, bogobojnymi, rzetelnymi, uczonymi, skromnymi, dobrze się w domu rządzącymi — z takiemi zatem ludźmi, których cnota jest wszystkim wiadoma i niezawodna trzeba przyjaźń zawierać i trzymać się ich statecznie, nigdy ich w najmniejszej rzeczy nie zdradzić, nigdy przed niemi nie kłamać i wiernemi im być, kochać ich, dopomagać im, przysługując się w czem.“

Czy przecież może tak być, skoro umysł nasz nie podparty wiedzą szerszą nie jest zdolnym sądzić i ocenić co jest w istnieniu człowieka godnością wyższą? Tylko w warunkach życia bardzo podrzędnych i ograniczonych ten zmysł człowieka moralny, zwany zdrowym sensem, dać mu może pomoc dostateczną, aby nie mylił się i nie błądził, przecież w chwilach życia trudnych nawet umysły wyższe chwieją się i wahają, trzeba też posiadać przekonania stałe, ugruntowane na głębszej znajomości celów i zadań życia, to jest tego co powinnością jest naszą i co zarazem udostojnia nas i podnosi po nad mechaniczne spełnianie funkcyi natury.

Możemy przecież czcić i kochać to tylko, co znamy, co pojmujemy jako wartość wyższą, co nam się przedstawia jako rzecz drogocenna i dla tego to wykształcenie umysłu czyni nas lepszymi ludźmi, lepszymi członkami rodziny, lepszymi obywatelami, pracownikami doskonalszymi w zawodach swoich. Ludzie znikają z powierzchni ziemi uchodząc w zaświat, to przecież co było w nich nie materyalnego tylko istnienia siłą, nie ginie dla ludzkości: ich pojęcia, skarby ich wiedzy, przykłady ich życia zostają jako puścizna, przekazana tym, co przyjdą po nich i dla tego też wykształcenie wyższe każdej jednostki, pomagające jej żyć doskonalej według celów postępu i uszlachetnienia się człowieka, jest zasługą przez pomoc, jaką daje zbiorowemu człowiekowi w rozświecaniu pojęć, w ugruntowaniu siły przekonań. Francuzki pedagog, Karol Bigot, rozumnie to wyraził w związłym aforyzmie: „Les indivudus passent, mais la race demeure“.

M. I.

FANTAZYA.

Cisza!... W tak ogromnej ciszy
Czasem ucho szept posłyszy,
Kołysankę drzew—
Śpiew słowiczy się odezwie
I do wtóru echa wezwie
Ten słowiczy śpiew.

Cisza! Usnął ten król pieśni
I ptaszkowie zmilkli leśni,
Zamarł wszelki gwar—
Nic spokoju nie narusza,
Ani serce, ani dusza
Nie rozsnuwa mar.

Cisza!... Tysiąc gwiazd się pali —
Wśród trzcin nie drży szelest fali,
Senny oddech wód—
Rozsrebrzony blask miesiąca
O spokojną toń potrąca
Szklistą, niby lód.

Cisza! Gwarny rój owadów
Wśród traw mokrych, kwietnych sadów
Umilkł, przepadł gdzieś...
W otoczeniu drzew wiśniowych,
Szarych cieniach, w mgłach perłowych
Śpi milcząca wieś.

Czekaj! W noc tak cichą, letnią
Gaj daleki zabrzmi pletnią,
Srebrny brzęknie śmiech —
Pieśń popłynie wzdłuż wybrzeży,
W górę wzleci, w dal uderzy
Tysiącami ech.

Cisza! Zdrzemnął się świat cały—
Zatrzymał się obłok biały
Na niebieskiem tle;
Nad stawami dęby stoją,
O czemś marzą, o czemś roją
Zatopione w mgle.

Cisza! Dziwny ten sen ziemi —
Czy marami srebrzystemi
Upojona śni?
Ale—oto wśród błękitu
Błyska złota gwiazda świtu
I jak brylant lśni.

Jasno!... Wnet się świat rozbudzi
I uderzą serca ludzi,
Rozgrzmią fale wód.
Na tle z srebra i opalu
Czerwienieje pas koralu,
Złoty słońca wschód.

Cisza! Żaden głos nie wzlata
Ni od świata ni do świata
Choć już błysnął dzień —
Szmer chce chwycić trwożne ucho:
Wszędzie cicho, pusto, głucho,
Nigdzie życia drżeń.

Wstańcie śpiochy! Glob słoneczny
Płynie jasny—duży - mleczny,
Odwrót wschodu—hen!...
Wzrok opieram o krawędzie
Ziemi—słucham... Cisza wszędzie,
Sen—i sen—i sen!...

Kazimierz Gliński.

Kobieta w Stanach Zjednoczonych.

II.

Drugą część swej pracy poświęca pani Bentzon zasługom obywatelek Massachusetts'u i Bostonu. Bohaterstwo ich, którego sława przeszła zarówno do roczników historyi, jak do legend ludowych, otoczyło tam na zawsze kobietę aureolą: odwagi, cnoty i poświęcenia dla ziemi rodzinnej. Żony słynnych ówczesnych przewódców, jak: Adams, Knox, Hancock i inni, brały nader czynny udział w walce o niepodległość. Całe zastępy niewiast, wraz z panią Cushing na czele, wolały przyodziewać się w skóry dzikich zwierząt, niż kupować towary od Anglików. Służąca zaś w szeregach armii, Debora Samson, była również rodem z Massachusetts.

Niemniejszą wielkodusznością odznaczyły się mieszkanki Bostonu; szczególniej w walce o oswobodzenie murzynów. Lidya Marya Child biła się, jako prosty żołnierz; Marya W. Chapman poświęciła uciemiężonym gorące zabiegi, popierane siłą charakteru i nadzwyczajną pięknością. Podczas tej wojny krwiożerczej, damy Nowej-Anglii dostarczyły na utrzymanie wojsk północnych, 314,000 dolarów. M-rs Livermore, przewodnicząca „Stowarzyszeniu praw kobiety,“ oddawszy się cała na usługi uczciwej sprawy, siłą pióra, słowa i gorących zabiegów wiele jej przyniosła pożytku. Klara Barton, naczelniczka Czerwonego Krzyża, Zuzanna A. Anthony i Łucya Stone, najgłośniejsze propagatorki praw politycznych kobiety, wreszcie Lukrecya Coffin-Mott, znana obrońcielka murzynów, pochodziły także z Massachusetts.

Wpływ niewieści w dziedzinie wychowania i nauki, równie jest tam doniosłym. Pani Agassiz, wdowa po słynnym naturaliście, stoi na czele uniwersytetu dla kobiet imienia Harvard'a. Jedna z jej córek, m-rs Schaw, używa zasłużonej sławy na polu pedagogii. Prowadziła ona przez lat piętnaście, 16-cie szkół freblowskich, które następnie podarowała miastu. Żłobki, kolonie letnie, szkoły zawodowe, wszystko to jej dzieła. M-rs Marya Hemenway zdobyła sobie sławę bezpłatnymi odczytami z historyi Ameryki, oraz założeniem, pierwszego na nowej ziemi, muzeum archeologicznego.

W zakresie wiedzy ścisłej, Massachusetts szczyci się Maryą Mitchell, astronomką, cenioną wysoko przez takie powagi, jak: Herschell, Humbold i Le Verrier. W sztuce, Anna Whitney zapisała swe imię dwoma posągami, stojącymi na placach Bostonu. Obok niej, znane są malarki: miss Greene, miss Bartol i m-rs Sears; niemniej popularną jest głośna aktorka, Karolina Cushman.

Pierwszy tom poezyi amerykańskich, wydany w 1650 r. napisany został przez kobietę, Annę Bradsheet. Słynna wreszcie Małgorzata Fuller, która w ósmym roku życia kreśliła poezye łacińskie, oraz wygłaszała prelekcye po niemiecku, francuzku i włosku, wsławiła się później wyższymi wykładami, wykazującymi licznym słuchaczkom, stosunek, jaki zachodzi między różnorodnemi gałęziami wiedzy

Hołd oddawany sławom niewieścim Ameryki, nie byłby zupełny, gdybyśmy nie pochylili głowy przed panią Beecher-Stove, której cicha praca ugodziła śmiertelnie w niewolnictwo i podminowała jego istnienie. Obok niej, Yankesi przyuczyli się z czcią wymawiać nazwisko m-rs Ward Howe, autorki słów do *Hymnu bojowego*, tej „Marsylianki“ Amerykanów.

Pieśń dzika, do rzezi wiodąca, zamieniła się pod jej wpływem, w hymn podniosły. „Oddajcie życie za wolność, jak Chrystus za was je oddał“—pouczała pani Howe i, kierując się zasadą powyższą przez długie lata istnienia, stanęła na czele ruchu niewieściego w Stanach Zjednoczonych.

Postać to przejściowa, między przeszłością a teraźniejszością. Królestwem jej dzisiejszem „Klub niewieści Nowej Anglii,“ którego jest prezydentką. Założony przed ćwierć wiekiem, stanowi punkt zborny kobiet, które gromadzą się tu co tydzień, dla roztrząsania kwestyi, z zakresu: sztuki, literatury, wychowania i t. d.

Pani Bentzon opisuje szczegółowo a z zapałem jedno z takich posiedzeń. Żadnej sztywności i formalizmu, żadnych cech zebrania publicznego. Cała sesya miała pozór zgromadzenia w wykwintnym domu prywatnym, w którym rolę gospodyni spełniała z wdziękiem i powagą pani Ward-Howe, pełna wykwintnego taktu, zarówno przy obradach, jak przy skromnym stole biesiadnym. Turystka francuzka zapewnia nas, iż zebrania takie, czysto niewieście, możliwe są tylko w Ameryce. Nigdzie bowiem kobiety nie posiadają dość wykształcenia, aby się bawić wzajemnie; nigdzie dość taktu, aby nie dla mężczyzn, lecz dla siebie samych, uzbroić się w uprzedzającą grzeczność, uprzejmość i uznanie. Cechy te dodatnie, właściwe są tylko kobietom, stojącym umysłowo wyżej od naszego ogółu.

Od czasu śmierci Łucyi Stone, głową naczelną ruchu niewieściego w Ameryce jest bez zaprzeczenia pani Ward-Howe. Dzięki wpływowi jej, prawo publicznego głosowania kobiet przeszło w Massachusetts 122 głosami, przeciw 106. Jestto wstęp do reformy ogólno państwowej, mocą której kongres Stanów Zjednoczonych powoła obywatelki swe do współudziału w pracach administracyjnych i prawodawczych. Według opinii ogółu są one oddawna do zadania tego przygotowane, z parlamentaryzmem obyte i politycznie dojrzałe.

Sprawą tą całą kieruje. „Stowarzyszenie praw politycznych kobiety amerykańskiej,“ założone w 1869 r., przez W. Garrison'a, G. W. Curtis'a, pułkownika Higginson'a, oraz panie: Livermore, Ward-Howe i Łucyę Stone, która była przewodniczącą komitetu wykonawczego.

Dzieje tej kobiety są tak niezwykłe, że jakkolwiek, z okazyi jej śmierci, wszystkie pisma zagraniczne obszernie się o bohaterstwie jej rozpisywały, pozwalamy sobie przytoczyć tu niektóre dane.

Dzieckiem jeszcze postanowiła iść do uniwersytetu, oraz studyować język grecki i hebrajski, po to, aby mogła biblią w oryginale czytać. Wprowadziwszy zamiar w czyn, uczyła się, utrzymując się równocześnie z pracy rąk; sama sobie przytem gotowała, sama prała. Ukończywszy uniwersytet Oberliński, poświęcała się nauczaniu murzynów, zbiegłych z pod knuta swych władców. W 1847 r. rozpoczęła słynne swe odczyty o prawach kobiety; a tyle kwestyi tej święciła bohaterskiego zapału, iż dla braku środków pieniężnych, sama rozlepiała po mieście afisze, narażając się na szyderstwa i niebezpieczeństwa, wśród tłumu, którym zawsze w końcu opanować umiała. Zaślubiona Henrykowi Blakwell, walczyła wraz z nim, przez lat 40 o oswobodzenie murzynów i równouprawnienie kobiet. Pałac niewieści, na wystawie w Chicago, pomieścił biust jej, dłuta Anny Whitney, a pogrzeb jej, w Październiku 1893 r. równał się demonstracyi żałobnej licznego tłumu, który trumnę zasypał kwiatami białymi i żółtymi, jako barwami „Stowarzyszenia praw politycznych kobiety.“

Gdy mowa o Stowarzyszeniu tem, trudno pominąć jednej z jego przewodniczek: miss Edny Cheney, która dziś koncentruje całą swą działalność w wielkim szpitalu dla kobiet i dzieci, *New England hospital for women and children*, kierowanego wyłącznie przez lekarki niewieście. W ogóle, Boston posiada: 39 doktorek alleopatek, 41 homeopatek i 89 praktykujących bez wyższego dyplomu, na co prawa miejscowe pozwalają widocznie.

Wyczerpać nazwiska zasłużonych Amerykanek, to rzecz niełatwa. Autorka przytacza nam coraz nowe; a przed każdem wartoby pochylić głowę, a każde nakazuje szacunek dla siebie i przedstawianej przez nie sprawy; bo każde błyszczy ofiarnością, troską o dobro innych, energią i inicyatywą. Oto miss Anna Tieknor, założycielka „Stowarzyszenia zachęty do pracy umysłowej w domu.“ Chodziło jej o to, aby dziewczętom, które nie potrzebują na chleb pracować, dostarczyć materyału do kształcenia się przy własnem ognisku. Zaczynała z dwoma uczennicami, dziś liczy ich 423. Stowarzyszenie jej posiada już kilkadziesiąt filii a wykłada w klubach tych 190 profesorek. Dzięki pannie Tieknor i jej ojcu, na 352 miast stanu Mussachusetts, 300 posiada bezpłatne biblioteki publiczne; nad utrzymaniem ich w porządku pracuje (oprócz pomocnic) 200 bibliotekarek. Legaty na cel ten, oprócz darów w naturze, wynoszą pięć milionów dolarów. Obowiązkiem bibliotek tych, jest, obok szerzenia wiedzy, zbieranie skrzętne dokumentów, dotyczących historyi i wzrostu miasta; zgromadzenie roczników rodzinnych, genealogii oraz wszelkich wydawnictw, dotyczących rozwoju moralnego, społecznego, politycznego i ekonomicznego ludności. Uwieńczeniem systemu tego jest biblioteka bostońska, licząca *dwa miliony* dzieł i odpowiednią ilość źródeł rękopiśmiennych. Pałac jej, wzniesiony na Copley Square, do najwspanialszych w mieście należy. We wszystkich zaś zakładach tych, główną rolę gra inicyatywa kobiety i dłoń jej pomocna, dłoń ofiarna zwłaszcza, podtrzymująca instytucye, któremi naród chlubi się najsłuszniej.

Sądzimy, że karta ta tłomaczy dostatecznie, dlaczego Amerykanie czcią prawdziwą otaczają swoje kobiety. Rzućmy jednak okiem na następne, a przekonamy się, iż Stany Zjednoczone nie posiadają jednej szlachetnej, humanitarnej instytucyi, jednego zakresu wiedzy lub działalności społecznej, zarówno narodowego, jak ogólno-ludzkiego znaczenia, w którymby kobiety nie odznaczyły się pracą i poświęceniem. Przed zażądaniem *praw*, wzięły one na siebie przedewszystkiem *obowiązki* a spełnianiem ich pełnem poświęcenia i zaparciem się siebie, na *prawa* dopiero zasłużyły. Jeżeli cała żywotność młodej i niewyczerpanej rasy uwydatniła się w szalenie szybkim postępie, wzroście i rozwoju Stanów Zjednoczonych, to cała strona duchowa owej rasy, cała jej młodzieńczość, szlachetność i niespożytość, zjednoczyła się—według pani Bentzon, w wolnej córze tego wolnego kraju. Wartość jej wzrasta tu i wyrasta po nad miarę u nas znaną. Nie przestając być kapłanką domowego ogniska, bierze ona czynny udział we wszystkich dziedzinach życia społecznego. Wobec też kłębiących się tutaj cyfr, machin i wiru handlowo-przemysłowego, postać ta przybiera opatrznościowe cechy. Staje się bowiem dobrym geniuszem narodu, duszą jego uczuć szlachetnych, boginią sztuki, wyobrażeniem prawdy, dobra i piękna.

Jeżeli takimi są wyniki wyższego wykształcenia, o którego systemacie mówić z kolei będziemy, jakżeżby należało śpieszyć, z przeniesieniem warunków jego na grunt starej Europy. *A. K.*

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

IV.

I musiałby być bardzo w ciemię bitym, gdyby się nie był domyślił od razu wszystkiego.

Ta otwarta szuflada, ten nieład na biurku, ta kupa listów rozłożonych powiedziały mu od pierwszego rzutu oka, co zaszło.

Tylko wszedł do swojego gabinetu i spojrzał, gorąco mu się zrobiło.

— A to osioł ze mnie!—syknął rozgniewany na siebie;—zostawiłem kluczyki!...

Nie mógł sobie darować takiego roztargnienia.

W pierwszej chwili stał nad biurkiem splondrowanem i nie wiedział, co czynić; miał minę zmięszaną, zawstydzoną, zdziwioną i zirrytowaną zarazem.

Byłby się prędzej śmierci, niż czegoś podobnego spodziewał. Nigdy mu się przecież dotychczas nie zdarzyło, aby się tak zapomniał, tak zgapił, tak przytomność stracił.

Ale bo go też ta wizyta tej narwanej Bianki zaskoczyła tak nagle, że był oszołomiony; chciała mu zrobić formalną awanturę o to, że się nie pokazywał u niej, że nie dawał znaku życia o sobie.

Cóż to on myślał, że ma do czynienia byle z kim, z jakąś tam pierwszą lepszą, którą można dziś znać a jutro nie?... Ona mu przyszła powiedzieć, co o nim myśli. Do takiego postępowania nie była przyzwyczajoną, w ten sposób nie pozwoliła się jeszcze żadnemu mężczyźnie w życiu traktować.

Zapomniał, że w niej płynie krew południowa?... że takie kobiety mszczą się za uczynioną sobie zniewagę?... że żartować z niemi niebezpiecznie?...

Chciała wiedzieć, co miały znaczyć ta nagła zmiana w nim, ta obojętność, to zapomnienie?... Nie dość, że nie zajrzał ani razu do niej, ale nawet w teatrze się nie pokazał, ani słówka do niej nie napisał!... To niesłychane rzeczy, to despekt, to brak po prostu dobrego wychowania.

Może sobie jej nie kochać, mniejsza o to, ona o taką miłość nie stoi,—powtórzyła mu to kilka razy, ale powinien ją szanować, bo nie tacy ją szanowali;—baronowie, książęta, nawet jeden królewicz i jakiś radża indyjski w Kairze u nóg jej leżeli, a ona patrzeć na nich nie chciała.

Cóż to on sobie myśli?...

Musiał się usprawiedliwić przed nią, wykręcać, kłamać, szukać wybiegów, zapewniać, że wszystko to stało się tylko przypadkiem. Miał w domu tyle przykrości i zmartwienia, dzieci mu nagle rozchorowały się ciężko, on sam leżał w łóżku przez trzy dni i nie wiedział, jak ją uwiadomić, gorączka trapiła go, a przytem—był jeszcze inny powód ważniejszy, moralny, którego nie śmiał jej wyznać odrazu... Walczył z sobą, bił się z myślami, wyrzucał sobie, że z zamkniętemi oczyma sięgnął ręką po taką gwiazdę!... pytał się, czy ma dalej na oślep iść za nią, a potem co?... dokąd zajdzie?... co zrobi?...

Dzisiaj do nich należy, ale jutro?... jutro będą musieli się rozłączyć, może na zawsze.

Ta myśl gnębiła go, przygniatała, wykoleiła zupełnie, etc. etc.

Kłamał na potęgę, byle tylko zasłonić się pozorami i nie przyznać do właściwych powodów swej nieobecności u niej, do scen małżeńskich w domu, do braku stanowczości i konsekwencyi we własnem postępowaniu.

Chciał na dwie strony sprawę wygrać i na obie mu się nie udawało.

Włoszka, jakgdyby domyślała się czegoś, kłuła go szyderstwem swojem, nazywała go zmiennym, małodusznym, drwiła z niego, a przytem w passyi uszczypnęła kilka razy, w ramię i groziła, że mu oczy wydrapie, że gotowa rzucić się na niego ze sztyletem, który nosi przy sobie zawsze, tylko dzisiaj zostawiła go w domu umyślnie, niedowierzając sobie.

Przysięgała się, że ją popamięta i zrobiła mu scenę zazdrości, gwałtowną, namiętną, groźną, ale potem śmiała się sama z siebie i z niego, nazywała się głupią, powtarzała z ironią:

— Jakież ja mam prawa do pana?... żadne!... bezwstydną jestem, że się panu narzucam, że cię nachodzę w twoim własnym domu! ..

Powracał od niej po tej scenie rozstrojony, zmęczony, z dziwnym jakimś niesmakiem, mówiąc sobie w duszy:

— Nie, ona przy bliższem poznaniu stanowczo traci!... za gwałtowna jest, za wiele wymagająca a przytem jest w niej coś ordynarnego!... To nie może być prawda, aby pochodziła ze starej szlacheckiej rodziny margrabiów włoskich; matka jej może była hiszpanką, ale pewnie sprzedawała cebulę w Andaluzyi, albo służyła za markietankę. Licho ją wie!... chwilami odzywa się w niej pospolita natura prostej chłopki, i to mi się właśnie nie podoba.

Tego wieczora nie podobała mu się już tak, jak poprzednio; zauważył nawet, że miała ręce jakby brudne i głowę chyba przedwczoraj ostatni raz czesaną.

Nie, stanowczo był rozczarowany; postanawiał sobie nie wikłać się bardziej w ten kłopotliwy stosunek i wreszcie wycofać się z niego.

Zanadto się poddał pierwszemu uniesieniu i przesadził, idealizując ją w swych pojęciach; cała ta sprawa zresztą za drogo go kosztowała.

Poróżnił się przez nią z żoną, naraził sobie Wicunię, cały spokój domowy zakłócił,—„nie, stanowczo trzeba dać pokój!“—myślał i wracał z najlepszemi intencyami; nawet skruszony był jakiś i usposobiony do przywrócenia zgody z żoną, gdy oto jakiego psikusa mu los wypłatał!...

Żeby nie te kluczyki, żeby nie ten pospiech, nie to roztargnienie...

Ale teraz wszystko przepadło; z deszczu wpadł pod rynnę; zdradził się niespodzianie ze wszystkiemi swemi sprawkami, które udawało mu się dotąd tak szczęśliwie i zręcznie ukrywać.

Fatalny zbieg okoliczności!.. na seryo, możnaby uwierzyć w jakąś Nemezys, prześladującą złe uczynki i wiarołomstwo mężów.

A jednak i ta Wicunia... nie, tego się po niej nie spodziewał. Skorzystać tak z jego roztargnienia, otwierać szufladę, przewracać w jego listach,—tego przecież nie powinna była zrobić.

Co do Bianki, no—to jeszcze była wytłómaczoną; miała powody do podejrzeń, do zazdrości, mogła się czegoś domyślać, ale co do reszty... fe!... to brzydko, to pospolicie, to nieszlachetnie było z jej strony, nadużywać w ten sposób jego zaufania i otwierać szufladę dlatego tylko, że przy niej przypadkiem kluczyki się znalazły.

Rozumował naiwnie i sofistycznie, aby sobie dodać ducha, bo wobec odkrycia żony czuł się zachwianym i po raz pierwszy w życiu onieśmielonym; stracił rezon, dowcip i pewność siebie.

Na argumenta byłby znalazł argumenta, byłby się potrafił bronić i wykrętnem rozumowaniem przekonać ją, że była w błędzie, nie miała słuszności robić mu wyrzutów, że mu ubliżała i t. p., ale wobec dowodów, wobec faktów tracił głowę.

Nie śmiał jakoś oczu podnieść i czuł się zawstydzonym wobec samego siebie.

Cóż jej powie teraz, jak się wytłumaczy, jak wyprze, jak zaprzeczy wszystkiemu?... na kogo zwali winę, która tylko na nim jednym cięży?...

Głupia sytuacya!...

Ukorzyć się, toby znaczyło przegrać sprawę raz na zawsze, ubliżyć sobie, poniżyć się,—a znowu podnieść głowę i przyznać się do wszystkiego z czelnością, na to zabrakło mu odwagi.

Gdyby miał jeszcze tej swojej Wicuni co do zarzucenia, przyszłoby mu to łatwiej, ale tak, wobec jej potulnej dobroci, prawości, przywiązania i tylu rzeczywistych cnót kobiecych i małżeńskich, które w niej uznawać musiał, czuł swoją niższość, był bezbronnym.

Że też go teraz właśnie, w takiej chwili zaskoczyła taka niespodzianka!...

Licho go też skusiło te wszystkie bezużyteczne świstki przechowywać przez tyle lat; co mu mogło na nich zależeć?... nigdy przecież nie zaglądał do nich, nie odczytywał, nie odświeżał tych wspomnień. Na co?... dlaczego?... przecież kotylionowych orderów nie chowa się na pamiątkę, a ta cała korrespondencya większej dla niego nie miała wartości, jak wspomnienia z balu lub rautu.

Nie zastanawiał się nad niemi nigdy poważniej, bo w ogóle dotąd poza nim samym, poza kwestyą głosu, śpiewu, muzyki, opery, była mu reszta świata obojętną.

Nie rozbierał nigdy takich subtelności życiowych, czy coś jest dobrem lub złem, właściwem lub niewłaściwem, szlachetnem lub nieszlachetnem?... brał to życie *en detaille*, nie *en masse*, nie uogólniał swoich poglądów, nie szukał żadnych wniosków, nie troszczył się o żaden morał; brakło mu do tego malutkiej rzeczy: etycznego zmysłu, bez którego obywał się dotychczas, nie uważając wcale, aby to koniecznem być miało w człowieku, który i tak nie kradnie, nie rozbija, nie fałszuje podpisów i nie przekracza ustaw policyjnych.

W swojem przekonaniu nazywał się „porządnym człowiekiem,“ bo chodził... czysto ubrany i żył z własnego grosza.

Ba!... pracował nawet, dawał lekcye, był professorem śpiewu, artystą.

A jednak po raz pierwszy obudziła się w nim świadomość czegoś, co było dlań prawdziwie kłopotliwem, co go stawiało w drażliwej jakiejś sytuacyi, w której się dotąd nigdy nie znajdował.

Pierwszy raz przyszło mu do głowy, że nie będzie umiał żonie prosto w oczy spojrzeć i rozmawiać z nią swobodnie wobec tych marnych świstków, które go zdradziły i haniebnie wydały.

Po co te kobiety do niego w ogóle pisywały tak dużo?—one mają manję korrespondowania, a przecież wiadoma rzecz, że nic tak nie plami honoru kobiety, jak... atrament i nic tyle nie naraż mężczyzn, co takie listy.

Czuł teraz niemal urazę do tych wszystkich blondynek i brunetek, przez które znalazł się w sytuacyi bez wyjścia i nie umiał sobie poradzić, zapomniawszy, iż był czas, kiedy każdą z nich uwielbiał osobno dłużej lub krócej.

Tak, ale uwielbiał je w innych, wygodniejszych, bezpieczniejszych, mniej odpowiedzialnych warunkach.

A teraz, po czasie, ta przeszłość, którą uważał za pogrzebaną, wyłaziła do niego z szuflady jego własnego biurka i jak widmo spóźnione mściła się na nim.

I to się nazywa sprawiedliwością!...

Miał ochotę wszystkie te papierzyska zgarnąć na ziemię, jak proste śmiecie, wrzucić do kosza albo spalić w piecu, byle tylko pozbyć się ich widoku raz na zawsze i byle mu nie przypominały, że tam za ścianą czeka go teraz przeprawa z żoną.

Stał, rozmyślał, wąs motał na palcu i napróżno sobie głowę łamał.

W dalszych pokojach było cicho...

— Co to jest, że ona do mnie nie wychodzi? — przyszło mu na myśl;—pewnie tam gdzie w kącie znowu zalewa się łzami i odchoruje jeszcze tę całą awanturę!... Bodaj to wszyscy dyabli wzięli!—zaklął pod nosem i nasłuchiwał znowu, czy się jaki szelest nie odezwie za drzwiami.

Cicho było.

Ta cisza go jeszcze bardzie onieśmielała. Nie umiał sobie jej wytłumaczyć.

Spojrzał na zegarek; było dopiero po dziesiątej, nie mogą chyba już wszyscy spać w całym domu.

Podszedł do drzwi, wszedł do salonu, posunął się aż pod pokój sypialny i nie usłyszał nic.

Zegar tylko tykotał w stołowym pokoju.

— Co to może być?... pochowali się wszyscy przedemną, czy co takiego?...

Ujął za klamkę po chwili wachania i wszedł; pokój był ciemny i pusty.

Wrócił się po lampę do swego gabinetu i przy jej świetle zobaczył otwartą szafę, w nieładzie porozrzucane ubrańka dzieci, łóżeczko Poli rozburzone, ale nie zastał nikogo.

Przeszedł całe mieszkanie w ten sposób i przekonał się, że było puste.

Wszedł do kuchni, w której zaspana kucharka drzemała nad zatłuszczoną książką do modlenia przy naftowej lampce i spytał:

— Pani niema?...

Służąca ze snu wyrwana podniosła się szybko i rozcierając sobie oczy, na pół przytomnie odpowiadała.

— Co?... gdzie?... u Jacentowej...

— Pani wyszła?...—powtórzył niecierpliwie.

— A, pani?... bo myślałam, że to Jacentowa z dołu... Pani?... a jakże, pani pojechała, ale powinna już wrócić lada chwila.

— Dokąd pojechała?

— A nie wiem, derożką pojechała z Maryanną.

— A dzieci?

— Dzieci też.

— Dawno?...

— Będzie już kawał czasu.

Nie śmiał o więcej pytać; przeczucie złe go ogarnęło.

Sytuacya się wikłała.

Pojechała i zabrała dzieci ze sobą, na noc, o tak późnej porze, na taką niepogodę?... to coś szczególnego, to zapowiadało gorszą burzę, aniżeli sobie wyobrażał.

Pojechała i nie zostawiła ani słowa, ani listu, ani znaku żadnego?... Przeszukał całe mieszkanie, obejrzał wszystkie stoliki, czy nie znajdzie gdzie jakiej kartki—nic, nigdzie, ani śladu.

— No, patrzcie państwo, porzuciła mnie!—mówił z jakimś grymasem na ustach, — najwyraźniej zabrała się i porzuciła. Ha!... tegom się po niej nigdy nie spodziewał!...

Jużby był wolał spazmy, płacze, mdłości, byle w domu.

Ale taki skandal, taka kompromitacya, to przecież nie mogło pozostać tajemnicą.

Pojechała pewnie do babki, opowie jej wszystko, poskarży się, tam się wypłacze, tam ją jeszcze bardziej baby zbuntują i co dalej?... co z tego wyniknie?... czem się to skończy?..

Usiadł na fotelu i rozmyślał dalej zmieszany, wzburzony, zły na siebie, na cały świat, na losy, na te głupie listy, które tyle złego narobiły.

Zgarnął je, jak wióry do otwartej szuflady i zamknął napowrót; nie mógł patrzeć na nie więcej.

— A może rozmyśli się i wróci,—pocieszał się,— coby tam robiła?...

Czas jednak upływał, nadzieje się nie spełniały.

Zapalił papierosa i chodził po wszystkich pokojach, które teraz na nim dziwne robiły wrażenie pustki.

— A to mi urządziła kawał!—myślał—no, no!... wzięła mnie, niema co!...

Zastanawiał się nad dalszemi następstwami tego kroku i nie chciał jakoś uwierzyć, aby tak zostać miało.

— Chce mnie nastraszyć tylko,—mówił sobie,— gdzieżby ona bezemnie wyżyć mogła?... kocha mnie zanadto, a potem dzieci... dzieci przecież nie może mi odbierać.

Uczepił się tej myśli i przypomniał sobie nagle swoje ojcowskie prawa, bo w nich widział środek ocalenia i obrony dla siebie.

Budziło się w nim jakby sumienie i robiło mu wyrzuty.

Mimo to chwilami dumna natura egoisty odzywała się:

— A zresztą, mniejsza o to!... jeżeli zechce, niech sobie zostanie u babki. Wielka rzecz!... będę wolny. Dam sobie radę i bez niej. To może nawet i lepiej!...

Chodził tak jeszcze po północy, nie mogąc się zdecydować; dogryzało mu to, że go żona porzuciła, pogardziła nim, zrzekała się dobrowolnie swoich praw do niego.

A świat?... co powie świat?... będą plotki, komentarze, domysły, zaczną o nim mówić, wezmą go na języki, straci opinię; kto wie, ludzie są złośliwi, zaczną z niego drwić, obgadywać go, nie będzie śmiał im w oczy patrzeć.

— Żeby to wszyscy dyabli wzięli!—klął i błąkał się ciągle w zaklętem kółku, nie mogąc znaleźć wyjścia.

Położył się wreszcie bardzo zmęczony, ale zasnąć nie mógł, bo go budziły ciągle myśli o Wicuni i o dzieciach.

Na drugi dzień wstał, jak zmaglowany; napisał do matki, ażeby natychmiast przyszła, bo się stało coś okropnego. Rozdrażniony był, zły, niesmak czuł fizyczny i moralny. Noc go samotnie spędzona jeszcze bardziej zdenerwowała. Nigdy nie przypuszczał, że go to tak obejdzie.

Grosiecka przyjechała dorożką zaniepokojona kartką syna.

Gdy się dowiedziała o tem, co zaszło, rozumie się bez szczegółów o listach, które jej Walery zataił przezornie, zwalając wszystko na jakieś plotki i na zazdrość, wywołaną znajomością jego z panną Bianchi, zmarszczyła brwi i z zafrasowaną twarzą patrzała w ziemię.

— O, to bardzo brzydko ze strony Wicuni — powiedziała po chwili namysłu...—żona nie powinna odchodzić od męża. Twój ojciec także nie był świętym, ale jabym była tego nigdy nie zrobiła, choć miałam tylko ciebie jednego, a ona ma troje dzieci. Tak się zapomnieć!... nie, tegom się po niej nigdy nie spodziewała.

— Prawda?—poderwał skwapliwie i zdawało mu się, że sąd matki uniewinnia go po części przynajmniej w tej sprawie, rehabilituje go w jego własnych oczach.

Podniósł głowę i chodził po pokoju, gestykulując żywo rękoma.

— Albo to jej źle było przy mnie? — Brakowało jej czego?... — mówił, nabierając znowu rezonu, — nie pracowałem dla niej?... nie starałem się, aby jej niczego nie brakło... A że tam kiedy robiła do mnie jaka sroka czułe oczy, no to cóż? — to trudno!... na mojem stanowisku to się zdarza. Przez to jej, jako żonie korona z głowy jeszcze nie spadła.

Grosiecka milczała, rozglądając się po pokoju...

— Opuścić dom, gospodarstwo, obowiązki swoje, dopuścić do skandalu, czy to wolno kobiecie, która szanuje męża i siebie?—mówił dalej, zapalając się, kontent, że ma się przed kim wygadać, — cóż to, biłem ją, głodziłem, traktowałem, jak sługę? — czy co takiego? — Marniałem i tak przy niej, wyrzekłem się wszystkiego, zostałem w Warszawie, mogąc

w całej Europie być znanym. Ale czy jej to kiedy w głowie postało?!..

Matka przytakiwała mu tylko smutnem:

— A widzisz!.. a widzisz!...

Z tem wszystkiem nie umiała mu jednak poradzić, nie wiedziała sama, co zrobić; zdobyła się nawet na lekki wyrzut, jak gdyby w obronie synowej.

— Bo już co prawda, mój Walerku— zaczęła— to i ty powinieneś był nie dawać jej powodu... Wiedziałeś przecież, że ją buntują na ciebie, dogadują, głowę jej zawracają—a to tą, a to tamtą...

— No, ale znów moja mamo,—bronił się,—ja nie mogę żyć przecież, jak jaki kleryk; nie mogę się usunąć zupełnie od świata, muszę mieć stosunki, znajomości, muszę bywać, to trudno! — Ja nie jestem znów pierwszy lepszy filister!... ja jestem artysta!.. mnie nie można mierzyć zwyczajną miarą.

— No, tak, to prawda... Ale cóż teraz zrobisz?— zagadnęła go zakłopotana.

— Ha, cóż!... posełać po nią nie będę. Jeżeli nie wróci sama do jutra, to... to... to trudno. Sama sobie przypisze skutki.

Nadrabiał miną i nadawał swej twarzy wyraz obrażonej godności.

— Zobaczy, jak na tem wyjdzie!...—dodał z pogróżką, chociaż w głębi duszy nie wiedział sam, co zrobi.

Grosiecka pomyślała chwilę i spytała cichym głosem:

— Poszlibyście do rozwodu?...

Walery zagryzł usta i odchrząknął.

— Co tam rozwód!.. — rzekł, — ja się bez niego obejdę, ale separacya... To trudno, to wóz albo przewóz. Niech wybiera!... Ma się kogo poradzić, przemądra babunia jej powie, co ma zrobić.

— O, tamta! — wyrwało się z ust matki, — ja ci zawsze mówiłam, że ta stara to twój wróg. Nikt inny, tylko ona ją zbuntowała, ręczę ci!.. Ona sama z siebie nie zrobiłaby tego!..

Otarła sobie oczy i patrzała na ścianę, na której nad łóżkiem Wicuni wisiał emaliowany zegareczek złoty, ten sam, który darowała synowej na wiązanie.

Jakaś myśl chodziła jej po głowie i korciła ją od kilku chwil; zdawała się z mniejszą uwagą już słuchać Walerka i znać było, że ma coś na języku, czego nie śmie jeszcze wypowiedzieć.

— I zostawiła ci tak dom cały na Bożej opiece?—zaczęła wreszcie.

— A tak; nawet szaf nie pozamykała.

— Hm!... to także!...

Zbliżyła się do łóżka, a oczy jej jakoś nie mogły oderwać się od błyszczącego zegarka na ścianie, który wisiał na aksamitnym pantofolku, wyszywanym perełkami i szychem.

— Przecież to pokraść mogą wszystko w domu!—mówiła dalej po chwili.

— A pewnie!... gdzież ja mam głowę zajmować się domem teraz?...

Sięgnęła ręką nieznacznie raz i drugi, ale ją cofała jeszcze, nie mogąc się ośmielić, wreszcie odezwała się do syna:

— Wiesz ty, ja chyba zabiorę do siebie...

— Co takiego?

— Zegarek mój.

— Który?... a ten?... dlaczego?...

— Cóż się ma tu poniewierać!,.. jeszcze zginie, albo co. Ona i tak go nie szanowała, choć to pamiątka.

Nie sprzeciwił się; obojętnym mu to był w tej chwili.

— Niech mama weźmie!—rzekł, nie zastanawiając się nad przezornością matki, która pamiętała więcej o zegarku, niż o losie synowej i wnucząt w tej sytuacyi.

Jej chuda, pomarszczona ręka wyciągnęła się po błyszczące cacko pożądliwie i zdjęła go ze ściany.

Twarz jej się rozjaśniła chwilowem zadowoleniem; schowała zegarek w zanadrze i przybrała znowu minę zafrasowaną, spojrzawszy na syna, chodzącego po pokoju z głową spuszczoną i wyrzekającego na żonę.

Potem odezwała się w niej gospodarska przezorność kobiety, która całe życie przyzwyczajoną była do robienia porządków, więc poszła pozamykać szafy, komódkę, stoliki i kredens, przy których synowa w roztargnieniu pozostawiła klucze. Podniosła z ziemi kawałek tasiemki i związawszy nią wszystkie kluczyki razem, oddała synowi ze słowami:

— Weź, trzymaj to u siebie. Służącej nie można wierzyć!... Po co ma ci przewracać po szufladach?... Przecież tam jest bielizna i srebro.

Zdawało jej się to ważniejszą na razie rzeczą od wszystkiego, a ubytek jednej łyżeczki do kawy lub prześcieradła większą daleko stratą od utracenia samej synowej.

Nie chciała, aby jej jedynak był pokrzywdzony na swojem mieniu przez opieszałość niegospodarnej żony, która porzucając dom, zapomniała pozamykać szafy i kredens...

Dzień ten upłynął dla Walerego w ciągłej rozterce ze samym sobą; na obiad poszedł do restauracyi, lekcye wszystkie opuścił, nie czuł się usposobionym do pełnienia swych obowiązków.

Całe popołudnie wałęsał się bez celu po ulicach, zachodząc tylko do domu, aby zapytać służącej:

— Nikt tu nie był?..,

— Nikt,—odpowiadała mu z twarzą osowiałą.

Nie zdejmował paltota, ani kapelusza; zabierał się i wychodził znowu.

Wyganiało go coś z tego pustego mieszkania, w którem przywykł zastawać zawsze Wicunię przy robocie i dzieci rozbawione, biegnące do przedpokoju na jego przywitanie z okrzykiem:

— Ojczulek, ojczulek przyszedł!...

Nie zwracał na to dawniej tyle uwagi, co obecnie na ów brak, przypominający mu fatalny wypadek rozłąki z żoną i dziećmi.

Papuga spała na swoim kabłąku z nastrzępionemi piórami, Nero biegał po wszystkich kątach, jakgdyby szukał kogoś i dziwił się tej ciszy, panującej w całym domu.

Nak wieczorem, służąca zapytana po raz dziesiąty:

— Był tu kto?—odpowiedziała mu wreszcie:

— Nikt, tylko Maryanna przychodziła od starszej pani po bieliznę dla dzieci i po szlafrok dla naszej pani.

— Przyniosła list?

— Nie, żadnego listu nie miała, tylko tak na gębę.

Skrzywił się i zachmurzył.

— Trzeba było wydać,—rzekł opryskliwie.

— Kiedy pan wziął kluczyki ze sobą, — urażona widocznie z powodu takiego braku zaufania odpowiedziała mu kucharka i obtarła nos fartuchem, dodając od siebie:

— Przecież przy pani przez tyle czasu nic nie zginęło, to i teraz tembardziej...

Wyjął cały pęk kluczy i rzucił jej na stół kuchenny, potem się zawrócił i poszedł do swego pokoju.

— Przysłała po bieliznę i po szlafrok, więc nie ma zamiaru wracać!.. no, no!... dobrze, dobrze, zobaczymy!...

Dotknęło go to jednak, że przez służącę załatwiała jedynie ten interes.

— Przecież musi napisać raz! — mówił sobie — musi się jakoś odezwać.

I znowu czekał jeden dzień i drugi, nie wiedząc, co mu wypada zrobić.

Do Lidzkiej nie śmiał iść; przed matką zarzekał się, że tego za nic w świecie nie zrobi, bo do tego stopnia się nie poniży.

O, nie doczekanie jej!..

W rzeczywistości jednak nie szedł, bo się wstydził; nie umiałby był rozmawiać z nią o tem, co zaszło. Unikał zresztą świadków i pośrednictwa z żoną. Wiedział, że musiałby mieć winę podsądnego przy śledztwie.

Co innego jeszcze z Wicunią sam — na-sam, na cztery oczy, byłby zdolny wysłuchać jej najcięższych wyrzutów w milczeniu, ale przy osobach trzecich—nigdy!..

Buntowała się w nim jeszcze jego zarozumiała natura i duma; nie chciał się przyznać do winy.

Dzień za dniem upływał, sprawa pozostawała w zawieszeniu.

Nareszcie po tygodniu, gdy się już trochę oswoił z sytuacyą słomianego wdowca i powoli zaczął wracać do dawnego trybu życia, przynajmniej z pozoru, dowiedział się któregoś dnia od służącej, że pan Teofil zachodził do niego już dwa razy.

— I cóż mówił?..

— Mówił, że pewnie jeszcze dzisiaj przyjdzie, bo ma ważny interes.

— Aha!..—pomyślał,—parlamentarz.

I podniósł głowę, bo mu się zdawało, że druga strona kapituluje; ożywiła go nawet ta wiadomość i dodała otuchy.

Pozostał wieczorem w domu, oczekując zapowiedzianej wizyty Pantofla.

— Także ziółko ten Pantofel! -mówił sobie,—to on mi pierwszy tego bigosu narobił.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, 22 Lutego.

Wrzawa politycznych starć i kombinacyi prawie zupełnie ucichła od chwili, kiedyśmy już dostali nowego naczelnika Francyi w osobie pana Feliksa Faure'a, który i tem zadawalnia ciekawych, że w niczem nie przypomina swego poprzednika, gdyż nawet i kołnierzyki nosi stojące, kiedy Perier nosił wykładane; to też ów kołnierzyk, a w dodatku jeszcze na butach kamasze, jak również popielaty filcowy kapelusz służyły—między innemi—za argument przeciwnikom prezydenta przy jego wyborze; przytem jako namiętny palacz tytoniu nie jest także podobny do wielu swoich poprzedników.

Wszystkie jednak te drobnostki, dotyczące zewnętrznej strony Faure'a, umieli jakoś na jego korzyść wytłomaczyć przyjaciele i porównywać go do amerykańskich prezydentów tak z ogólnego wyglądu jak i z olbrzymiej pracy na polu przemysłu i handlu, no i zadowolenie nastąpiło. Choć nie we wszystkich sferach, oprócz stronnictw politycznych, zamieszkała radość i zadowolenie po usunięciu się Casimir-Périera. Oto nieszczęśliwi handlarze chromolitografii, którzy opierali swoją przyszłość na sprzedaży nowej olbrzymiej edycyi portretów byłego prezydenta, płaczą gorzkiemi łzami i złorzeczą osobie Faure'a, który dobrze ugruntować się będzie musiał na swem zaszczytnem stanowisku, nim się doczeka swego portretu popularyzowanego w milionowych odbitkach.

W chwilach ciekawych zmian politycznych głęboko wstrząsnęła wrażliwe umysły paryżan wieść o samobójstwie Raula Toché, wesołego wodewilisty, znakomitego towarzysza i doskonałego kronikarza z Gaulois, cieszącego się wielką sympatyą i popularnością. Namiętność do gry stała się powodem tragicznej śmierci; długi męczyły nieboraka, aż ostatecznie przegrana 100.000 franków jednej nocy w klubie des Deux-Mondes, doprowadziła go do ruiny i włożyła broń w rękę nieszczęśliwemu. Wiecznie jedno i to samo!

Pogrzeb Canroberta, ostatniego marszałka Francyi, powrót dwóch wygnańców i usunięcie się najstarszego i zarazem największego z artystów komedyi francuzkiej (Got)—to już chyba dość na jeden dzień, nawet dla Paryża, zajętego skwapliwie sprawą pięciu znanych wam szantażystów dziennikarskich.

Korzystając z amnestyi, udzielonej przez nowego prezydenta rzeczypospolitej, Rochefort powrócił z wygnania, przyjmowany owacyjnie na dworcu północnym, gdzie nietylko cały peron był szczelnie wypełniony wielbicielami, ale pełno było w oknach dworca, na dachach, nawet na wierzchu wszystkich wagonów podjeżdżającego pociągu ulokowały się tłumy zręczniejszych zapaleńców. Rochefort rzeczywiście z trudem mógł wysiąść z wagonu, a rozentuzyazmowany tłum odprowadził go przez całą drogę i aż do samej redakcyi „L'Intrasigeant" nie przestawał wywoływać sławnego polemisty; w biurze też czekała go wielka owacya i kilka tysięcy osób przybyło go powitać.

Mniej liczną, choć również gorącą manifestacyą witano powracającego do Paryża znanego antysemitę, Drumonda.

Popularny ze sceny znakomity staruszek Got, w kilka tygodni po zaślubieniu 19-letniej małżonki zapewne pochłonięty powabami nowej sytuacyi, rozstał się z umiłowaną sceną komedyi francuzkiej ku zmartwieniu publiczności, która sobie jego nieśmiertelność na deskach scenicznych wyobrażała.

Nie trzeba stwarzać żadnych dramatów, gdyż one codziennie przedstawiają się w rzeczywistości i do głębi poruszają nawet mniej wrażliwe serca. Zasypanie lawinami śniegu wioski d'Orlu w departamencie Aqrièges, tragiczne rozbicie statku „Elba", wybuch w kopalniach węgla w Monceau-des-Mines, przygnębiającego wrażenia których nie zatrze ostentacyjny pogrzeb ofiar katastrofy — wszystkie te wypadki, łącznie z ofiarami mroźnej zimy, która białym całunem pokryła całą Francyę, wyrwały krajowi wielu pracowników, pochłonęły tysiące ludzi i wiadomość o tem odbiła się bolesnem echem w sercach paryżan. Osłabiło to karnawałową wesołość, pomimo wysiłków p. Faure'a, który wielce pragnie ożywić miasto; skrzypki już zamówione i będziemy tedy tańczyć w pałacu elizejskim i oglądać artystów i literatów, którzy mają tu być równouprawnieni z wszystkimi dostojnymi gośćmi, z mężami stanu. Dotychczas odbył się jeden wielki obiad na cześć ciała dyplomatycznego, odznaczający się wspaniałym przyjęciem i pięknością tualet. Z wielkim ceremonjałem przyjmował nowy prezydent świeżo mianowanego ambasadora włoskiego, hr. Tornielli. Już to pan prezydent jest czynny i ruchliwy; oby tylko jaka melancholja nie owładnęła nim wkrótce w tym olbrzymim pałacu. Tymczasem chodzi Faure stale na premjery do komedyi, gdzie go ciekawe i żądne wrażeń paryżanki zawzięcie lornetują.

Pierwszą osobą ukoronowaną, którą w pałacu elizejskim przyjmował nowy prezydent, był młody król serbski, przyjęty z całym przepychem dworskiego ceremonjału, którym kieruje hr. de Bourqueney. Król Aleksander ubrany był po cywilnemu i w towarzystwie ojca Milana chętnie uczęszczał do teatrów; obecnie już wyjechał do matki, przebywającej w Biarritz, obdarzywszy prezydenta orderem serbskiego orła białego, orderem Takowy dwóch ministrów oraz orderami Św. Sawy czterech doktorów, którzy tu leczyli posła serbskiego Georgiewicza, ranionego przez anarchistę Léauthier'a.

W świecie naukowo-przyrodniczym narobiła tu wrzawy wiadomość o odkryciu przez dwóch chemików angielskich nowego gazu w powietrzu atmosferycznem, nazwanego „argonem". Prof. Berthelot, znakomity chemik tutejszy, wraz z prof. Moissan'em, znanym z odkrycia sztucznej fabrykacyi dyamentów z węgla, gorąco się zajęli tą nową sprawą naukową.

Znany wodewilista, ulubieniec Paryża, Albin Valabrègue, wesoły, elegancki viveur, pełen humoru i krytycyzmu autor cieszących się niedawno wielkiem powodzeniem utworów scenicznych w zakresie kolizyi pożycia małżeńskiego, tak zasmakował w pisarzach kościoła, że po przestudyowaniu wielu dzieł katolickich porzucił literaturę sceniczną i oddał się studyom nad religią i filozofią, owocem czego jest dzieło, dedykowane Papieżowi Leonowi XIII, p. t. „Filozofia XX-go stulecia", które ma być apoteozą chrystyanizmu i katolicyzmu. Dodać należy, że takiemu przewrotowi umysłowego kierunku podlega człowiek wyznania mojżeszowego, które podobno zmienić postanowił.

A teraz trochę wiadomości teatralnych i artystycznych. Teatr Gymnase wystawił trzyaktową komedyę „L'âge difficile" Jules Lemaitre'a, w której Antonine, dyrektor i założyciel teatru wolnego występuje w głównej roli. Sztuka ta przedstawia wiek, w którym starzy kawalerowie po niewczasie żałują, że się nie pożenili; jest w sztuce wiele trafnej obserwacyi życiowej, okraszonej dowcipem i oryginalnością.

Teatr Varieté wystawił nadzwyczaj zbytkownie wznowioną operę Hervé'go „Chilperic". Wystawa sztuki jest tak bogata, że z pewnością zrujnuje teatr, jeżeli nie dosięgnie stu przedstawień.

Odéon wystawił „Celimène aux Enfers", podpisaną imieniem Martelle'a, najstarszego z aktorów komedyi francuzkiej.

Za to niezwykłym wypadkiem obecnego tygodnia jest wystawienie wielkiego dramatu Fr. Coppée'go „Pour la couronne". Jest to piękna klasyczna tragedya, stylem przypominająca utwory starożytne.

Wystawiony tutaj przed miesiącem „Wózek gliniany", dramat przypisywany królowi Sudraka, napisany po sanskrycku w XVI-ym wieku przed Chrystusem, dał widzom szereg wypadków nieznanego starożytnego świata na tle prądów społecznych i psychicznych zamierzchłej przeszłości. Przeróbki dokonał Wiktor Barrucand.

W Rénaissance Sara Bernhardt wystawiła gniazdo rodzinne Sudermana pod tytułem „Magda", grając w niej rolę tytułową. Artystka zrobiła furorę w roli tak nadającej się do jej talentu, a obecny na przedstawieniu Suderman został kilkakrotnie wywołany. O samej sztuce zdania krytyków paryzkich były podzielone.

Od pewnego czasu kilkakrotnie czytałem w tutejszych pismach wzmianki o operze Paderewskiego. Utwór podobno jeszcze nie jest skończony, a Paderewski ma bardzo niewiele czasu na jego ukończenie z powodu nawału innej pracy To rzecz pewna, że szkic fortepianowy już w całości egzystuje i młody maestro grywa nieraz publicznie z niego wyjątki. Libretto, pierwotnie napisane po polsku, już jest tłomaczone na francuzki i niemiecki. Gdzie poraz pierwszy opera ta ujrzy światło kinkietów, dotychczas nie wie nawet sam autor; jest wielu ubiegających się o pierwszeństwo wystawienia, więc wybór trudny i jeszcze nie zdecydowany. Akcya sztuki toczy się w Tatrach w początkach bieżącego stulecia; muzyka zawiera wiele motywów góralskich i cygańskich.

Muzyki mamy w Paryżu pełno: koncerta jeden za drugim, a niedzielne cieszą się wielkiem powodzeniem — zawsze pełno publiczności. Colonne jak zwykle koncertuje z Berliozem w Châtelet, a Lamoureux w cyrku na polach elizejskich raczy paryżan Wagnerem. Koncerta p. d'Harcourt przy ulicy Rochechouart ściągają licznych słuchaczów. Przytem nie brak nam koncertów kameralnych, a w sali Erarda pani Berta Marx-Goldschmidt ma dać szereg koncertów historycznych; na jednym z nich byłem: koncertantka ma bardzo miłe uderzenie, brak jej jednak siły i brawury w wykonaniu.

Niezwykłe zaciekawienie w gronie muzyków i historyków wywołała wiadomość, że w Atenach odkryto hymn opiewający urodziny Apollina. Hymn ten, zmieniony ze starożytnej notacyi, zapewne wkrótce usłyszymy w wykonaniu koncertowem.

U Brandus'a wyszła opera „La montagne noire", libretto i muzyka ułożone przez Augustę Holmes. Nie odpowiadała jednak oczekiwaniu, jakie artystka w ogóle wzbudzała — i po wystawieniu w operze ogólnie się nie podobała.

Z kroniki sztuk pięknych możemy zaznaczyć wystawę akwarelistów francuzkich przy ulicy de Séze u Georges Petita, corocznie licznie nawiedzaną i jednę z najgłówniejszych, jakie są otwarte przed salonem. Jak zwykle odpowiada ona powszechnemu zaciekawieniu, zawierając godne uwagi dzieła, chociaż — jak to wszędzie bywa — nie brak i takich utworów. co widza pozostawiają obojętnym. Wystawa akwarelistów po raz siedemnasty otworzyła swe podwoje, a chociaż wielu znakomitych artystów, jak Détaille, Cazin, Morot, Benjamin Constant i pani Lemaire nie stanęli do apelu, jak to co rok bywało, to jednak ośm obrazów Harpinie'go, dziesięć Emila Adan, dwanaście M Yon'a, dzieła Rochegrosse'a, Leloir'a, Vibert'a, de Penne'a, Jeannioť'a i Lhermitte'a stanowią prawdziwą ozdobę wystawy.

Również na rue Séze była wystawa dzieł kobiecych, do której stanęło 56 artystek. Kobiet malarek jest w Paryżu bardzo wiele; nie można jednak powiedzieć, aby tegoroczna wystawa odznaczała się jakiemiś wybitniejszemi dziełami. Jedynie kilka artystek godne są wyróżnienia, a temi są: pani Lucas Robiquet, używająca pięknego kolorytu i iście męzkiej brawury pendzla; panna Valentino pięknie rysuje, choć nie ma świetnej gry kolorów; temi samemi zaletami rysunku odznaczają się panie: del Sarte i Duhem oraz panny: Marest. Koch, Fleury, Brouardel, Isbert, wystawiające wcale miłe i wdzięczne obrazki. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje pani Vallet za zręczne wykonanie kilku typów eleganckich paryżanek. Obrazy pani Muraton i Villebesseyx świadczą o doskonałych studyach, a akwarelle pani Mornard trzymają prym zręcznością wykonania, świeżością, kolorytu i doskonałym rysunkiem.

Międzynarodowe towarzystwo artystyczne wydało pierwszy zeszyt nowego kwartalnika, „Le Magasin International," pod redakcyą p. Otto Ackermana, Szwajcara. Pierwszy numer zawiera rzeczy nader starannie dobrane: są tam poezye amerykańskiego poety Walta-Whitmana, poezye Anglika Swinburne'a i poezye włoszki Ady Negri — naturalnie wszystko w przekładzie francuzkim. Zadaniem towarzystwa i „Magazynu" jest w ogóle rozpowszechnianie literatury międzynarodowej dla współczesnego ruchu umysłowego literackiego i artystycznego, i ułatwianie pobytu w Paryżu pisarzom i artystom cudzoziemcom. Towarzystwo posiadać będzie we wszystkich krajach swoich korespondentów i członków, którzy opłacać będą składkę członkowską, wynoszącą 20 franków.

Kierownik „Journal'a" Ferdynand Xau z inicyatywy i pod patronatem hr. d'Osmond, postanowił urządzać stałe konkursa piękności, zarowno fizycznej jak moralnej. Idzie tu o peryodyczne odznaczanie i wynagradzanie najwyżej stojących objawów jaknajszerzej pojętej piękności. Projekt ma zapewnione poparcie i ewentualny udział w pracy pośród najwybitniejszych sfer towarzystwa paryzkiego. „Journal" zamierza urządzić kilkanaście konkursów: niemowląt, małych dziewczynek; robót kobiecych, haftów, koronek, dywanów, kwiatów, szycia; dalej konkurs mód i czesania głowy, gotowania etc. (tu odznaczeniu podlega najlepsza praca i uznana za najlepszą pracownica); dalej konkurs sportów kobiecych, konkurs sztuk pięknych uprawianych przez kobiety, specyalne konkursy dotyczące najmniejszej nogi lub ręki; nagrody dla zasłużonych i obarczonych rodziną matek, 3 nagrody dla matek karmiących własne dzieci, nagroda za najpiękniejsze dzieci; wreszcie wielki międzynarodowy konkurs piękności kobiecej w wieku od 16 do 35 lat. Tak tedy owe peryodyczne konkursy obejmować mają kobietę w różnych okresach jej życia i sposobach zarobkowania.

O wielkiej sprawie szantażystów dziennikarskich zapewne wiecie już w głównych zarysach ze sprawozdań i depesz pism waszych, więc tych mętów życiowych w obecnej korespondencyi nie poruszę, poprzestając jedynie na wzmiance.

C. H.

Tomasz Edison

przez

E. Franka Dewey.

Wśród bohaterów dnia żadne chyba nazwisko nie jest dziś tak znane, jak Tomasza Edisona, którego odkrycia z zakresu stosowanej elektryczności i mechaniki olbrzymie wzbudziły zajęcie. Obdarzył on nas telefonem i fonografem, a jego nigdy nie słabnąca energia umysłowa wciąż obmyśla nowe cuda.

Cudowną również jest i historya życia tego człowieka, który urodziwszy się 10 Lutego 1847 r. w Medyolanie w hrabstwie Erie stanu Ohio rozpoczął swą karyerę jako roznosiciel dzienników przy kolei żelaznej w Michigan. Niebawem został sam redaktorem gazety, jeździł po kraju jako telegrafista, zajmując się wciąż obok tego studyami i experymentami z zakresu chemii i mechaniki, a dziś jako milioner znany w całym świecie żyje tylko dla swoich wynalazków, spędzając czas wśród ścian laboratoryum. Przypominałby on jednego z owych średniowiecznych alchemików, zakopanych wśród tyglów i retort, którzy poszukiwali kamienia filozoficznego, gdyby nie był tak nawskroś nowoczesnym, a jego dążenia skierowanemi do wyłącznie praktycznych celów, Życiorys Edisona maluje jednego z tych samouków w wielkim stylu o jakich trudno w starej Europie, a których tylko młoda Ameryka wraz ze swobodną grą sił społecznych nie

krępowanych żadnym przesądem wytworzyć jest w stanie.

Przecież nawet w tym kraju, gdzie nie dziwią nadzwyczajności, jest Tomasz Edison niezwykłem zjawiskiem. Krąży o nim mnóztwo anegdot, zwłaszcza w kołach ludzi pracujących przy telegrafie, stałym tematem rozmowy są dziwactwa i niezwykła zręczność cudotwórcy, jego sława i czyny. Każdy wie, jak odprawiony został z Memfis, gdzie jeden z dyrektorów uważał go za waryata, niezdolnego do załatwiania interesów towarzystwa — los wspólny z niejednym geniuszem w początkach jego karyery.

Nie mój to przecież temat mówić o tych początkach; zamiarem moim jest skreślić obraz człowieka, jak się przedstawia dziś w pełni sił swoich, na wysokości sławy, odtworzyć go jakim pozostał mi w pamięci z odwiedzin w jego laboratoryum w stanie Jersey o milę od Orange. Od lat siedmiu zamieszkał tu Edison ze swemi pomocnikami na niewielkim wzgórku, w tak zwanym Lewellyn-Portu, a dokoła jego osoby wytworzyła się już nawet legenda. Atmosfera tajemniczości panuje w okolicy laboratoryum, a sąsiedztwo spogląda z pełną szacunku obawą na budynek, za którego ceglanemi murami mistrz wykonywa swe czarodziejskie sztuki. Ci przecież, co przeżyli z nim czas jakiś nie obawiają się go bynajmniej, wiedząc, że wielki czarodziej jest szczerym, pełnym prostoty człowiekiem, który znając świat niewiele dba o niego, zajęty własnemi pracami.

Laboratoryum Edisona jest wielkim trzypiętrowym budynkiem z cegły, z jasnemi oknami, przez które przedzierają się niekiedy niezwykłe tony, rodzaj niepokojącej muzyki przerywanej dzikiemi krzykami, jak gdyby kto brał przyrodę na tortury, by ją przymusić do zdradzenia jej tajemnic. Wejście od ulicy oddzielone jest długim pobielonym parkanem, złożonym z niezwykle wysokich i szerokich ostro zakończonych słupów. Przy drzwiach jest guzik do naciskania wywołujący chłopca— odźwiernego, którego ruchy niestety w niczem nie przypominają elektryczności. Gość wprowadzony zostaje zrazu do wielkiej biblioteki, przepełnionej naukowemi dziełami w różnych językach. Aby jednak dojść do samego czarnoksiężnika urządzić trzeba formalny szturm. Jak w fortecy jest on zamknięty w jakimś labiryncie, ażeby go odnaleść prześlizgnąć się należy przez niezliczone błędne ścieżki między instrumentami osobliwej formy ze szkła, gutaperki i najrozmaitszych metalów, nie mówiąc już o wartach, które przekonywać przyjdzie.

Tu w tym wielkim ceglanym budynku Edison spędza życie, tu jest miejsce, w którem z coraz większem natężeniem pracuje jego ambicya. Laboratoryum postawiono dla zbudowania fonografu, który był i jest najulubieńszym Edisona wynalazkiem; w niem przebywa on prawie nieustannie, o ile nie odwoła go jakiś interes lub obowiązki towarzyskie. Do ostatnich zresztą przywiązuje Edison mało wagi.

Odwiedzając czarodzieja znalazłem go siedzącego przed nizkim stołem pomalowanym na czerwono, miał na głowie okropnie zgnieciony i zakurzony kapelusz ze słomy bez wstążki. Niebielona bawełniana koszula stara, zbrukane ubranie koloru bronzowego stanowiło resztę garderoby. Dokoła ust igrał miły uśmiech. W ubraniu codziennem przy pracy wygląda dziwacznie, wydałby mi się niemal śmiesznym, gdybym nie wiedział, że to jest Edison. Na szerokich ramionach nosi wielką czworograniastą głowę, pokrytą rzadkim siwiejącym włosem, z szeroką twarzą, z której przemawia coś więcej, niż zwykły spryt yankesa, ale w której niema owego piętna genialności, przerażającego gościa, dając mu poczuć jego niższość. Edison jest serdeczny i szorstki, a dokoła jego szerokich ust zarysowuje się dobrotliwość. Mówi głośno i w ostry sposób niekiedy czyni swym pomocnikom wymówki za ich lenistwo, wiedzą oni przecież, że nie jest surowym, ani gniewliwym. Ruchy i postawa zdradzają człowieka w pełni sił i zdrowia o szerokich ramionach i wydatnej piersi, tylko cera jest nieco bladą, prawdopodobnie w skutek częstego przebywania w zamkniętym pokoju. Nieco żywiej zabarwiony jest nos, nie należy przecież tłomaczyć tego nadmiernem użyciem alkoholu. Godnem uwagi jest oko Edisona; spojrzenie chłodne, możnaby niemal powiedzieć rybie, ale jest to oko badacza, a w otaczających je zmarszczkach wyraziła się długoletnia praca geniuszu. W ogóle mówiąc, jest to twarz, którą poznać można między tysiącem, poważna i uroczysta w zamyśleniu i trudna do poznania, gdy żart wywoła na nią uśmiech. Gdyby nie twarz możnaby Edisona wziąć za kwakra, skoro ubierze się w swój uroczysty czarny tużurek i takiż krawat.

Edison zatrudnia w swem laboratoryum 200 do 300 ludzi, którzy jak najdokładniej informują go o rezultatach swej pracy. Każdy experyment wykonany zostaje w oddzielnym pokoju, żadnego nie traci on na chwilę z oczu. Wie dokładnie, o ile się każde z doświadczeń udało i czego oczekiwać można od najbliższej próby. Posiada cudowny dar obserwacyi i jest mniemania, że powodzenie każdego wynalazku zależy od tego, by schwycić naturę w jej tajemnem działaniu. Najprostsze rękoczyny w dziedzinie elektryczności doprowadziły go do najdonioślejszych ulepszeń np. w telegrafie, a ze swoich wcześniejszych doświadczeń przyswoił sobie czujność, w której nikt mu nie dorówna. Niema tu nerwowego wahania się, czynności jego są szybkie i obmyślane, zamiary ważone przez czas długi, a przecież pod pewnym względem jest on niezmiernie gwałtowny. W pracy jest podobny do żywego srebra, przelatuje z jednego przedmiotu na drugi, a jego pomocnicy twierdzą, że łatwo nuży się jednym rodzajem roboty. Edison naśladuje elektryczność, nikt przewidzieć nie może, co zrobi w najbliższym momencie. Wytrwałość z jaką pracuje i utrzymuje w czynności swych pomocników przypomina tylko historyą wielkich wojen i wielkich gazet. Gdy się specyalnie zajmie jakimś experymentem całemi dniami nie opuszcza laboratoryum, pracuje dzień i noc i pozwala sobie na tak krótki sen, że każdy inny nabawiłby się zapalenia mózgu. Przez ten czas każe sobie przynosić jedzenie z mieszkania odległego o pięć minut drogi od laboratoryum, albo z małej restauracyi, położonej u stóp pagórka. Zjada w tem samem miejscu w jakiem się wtedy znajdzie, nie przestając ani na chwilę pracować. Jest mu zupełnie obojętnem, co mu przynoszą, gdyż niema czasu zastanawiać się nad smakiem potraw. Jest to czas, w którym dokonywa cudów. Przepędzał już w podobny sposób w laboratoryum po pięć dni i nocy bez łóżka, umywalni i innych urządzeń zbytkownych. W swoim pokoju ma on fotel, na którym siada w przerwach, czekając na jakieś narzędzie, niezbędne do jego eksperymentu i w tym drzemie zrywa się jednak, gdy podadzą mu to, na co oczekiwał.

Gdy eksperyment się skończy, a problemat zostanie rozwiązany, Edison udaje się do swego pięknego Gleumont (tak zowie się jego posiadłość położona u stoku pagórka) kładzie się do łóżka i śpi tak długo, aż odzyska każdą straconą godzinę snu. Zasadą jego jest, że natura sama sobie radzi ze snem. Edison czyta z zapałem, ale naturalnie lektura jego ograniczać się musi do dzieł fachowych, inaczej nie mógłby w pracach swoich, dostroić się do ostatnich wyników wiedzy! Jest on zarówno przedsiębiorcą, jak i człowiekiem nauki; język francuzki zowie łatwym, niemiecki gimnastycznym, nie zadając sobie pracy mówienia żadnym z nich.

Edison nie przywiązuje wcale znaczenia do komfortu, jakkolwiek mieć go może w najobszerniejszem znaczeniu tego wyrazu, a prócz odznaczeń wszelkiego rodzaju otrzymuje mnóstwo wspaniałych podarunków, jakie dawać mogą tylko najmożniejsi tego świata. Najcenniejszym z jego skarbów jest biblioteka umiejętności przyrodniczych, jedna z najbogatszych na świecie. W niej odźwierciadla się obszerne wykształcenie tego samouka, który w młodości swej przejść mógł tylko szkołę ludową, gdyż ciężkie straty materyalne naraziły jego rodziców na utratę majątku.

Gdy Edison słucha, przechyla głowę w tył, a twarz jego przybiera prawie śmieszny wyraz uwagi, jakgdyby natężał każdy muskuł by dźwięki skoncentrować na błonie bębenkowej. Ma on zły słuch, ale jakkolwiek w ogóle dużo oczekuje od wynalazków przyszłości, jednej odmawia zupełnie prawa bytu, mianowicie trąbce akustycznej. Przykłada poprostu rękę do ucha, którem lepiej słyszy i czeka. Twarz jego wyraża tymczasem prawie szyderstwo, gdy stara się dowiedzieć jaki interes sprawadza słuchacza. Jeżeli przypadek chce, ze jest to sprawa dziennikarska, to przybysz uczuje się wkrótce jak we własnym domu. Czy to wspomnienie młodości usposabia go tak łaskawie dla tylokrotnie obmawianych „przedstawicieli prasy,“ czy wspólność z nią go łączy od czasów, gdy sam czynnym był jako dziennikarz, czy też uznanie wielkiego jej znaczenia? Gdy wspomniałem o mojem dziennikarskiem powołaniu, Edison odezwał się w te słowa: „zaliczam dziennikarzy do tej samej klasy, co ludzi nauki i przedstawicieli telegrafu, słyszysz pan. Sądzę, że należą oni istotnie do klasy dobrych ludzi (good fellows), a to jest najlepsza pochwała jaką mogę dać człowiekowi.“

Edison mówi bardzo płynnie i przeplata rozmowę wyrażeniami technicznemi z zakresu swoich prac. Gdy mu powiedziałem, że chciałbym coś napisać o jego osobie, skrzywił się i odrzekł:

„Bardzo pan jest uprzejmy, ale nie pozostaje już o mnie nic do powiedzenia. Więcej poświęcono mi uwagi, niż na to zasługuję.“

„Ależ ja przecież nie mam zamiaru opowiadać ludziom jaki pan w tej chwili masz nowy pomysł, tylko jakim jesteś człowiekiem, z jakim wysiłkiem pracujesz i co czynisz dla swego zdrowia.“

„Niewiele“ odpowiedział mi na ostatnie zapytanie, „myśli ono samo o sobie. O ile się czuję dobrze nie widzę przyczyny męczyć się lub zmieniać przyzwyczajeń. Większość ludzi uważałaby za rzecz niemożebną tak żyć jak ja i zachować przy tem zdrowie. Potrzebują oni osiem godzin snu dziennie, gdy ja zadawalniam się czterema i czuję się przytem jeszcze lepiej. Osiem godzin snu uczyniłoby mnie leniwym, ociężałym i nieużytecznym. Nie sądzę, aby większa część ludzi zastanawiała się nad tem, jaka jest zależność między jedzeniem i spaniem. Przyczyna dla której większość ludzi zadawalniać się nie może czterema godzinami spoczynku jest, że zanadto wiele jedzą. Co do mnie wystrzegam się tych obfitych uczt;—gdybym tego nie czynił byłbym nędznym i bezradnym, jak stary dyspeptyk. Miałem przykład jak rozleniwiły mnie we Francyi. Ciągnięto mnie tam na wielkie i ciężkie obiady, których znieść nie mogłem. Przytem jem w ogóle bardzo mało. Zjadam na śniadanie parę jaj, mały kawałek szynki z dwoma lub trzema dobrze wypieczonemi bułeczkami i trochę herbaty albo kawy. Na obiad nie spożywam więcej, kawa, herbata i woda są to napoje, które mi najlepiej służą. Jakkolwiek nie mam uprzedzeń co do używania spirytualii, nie przywiązuję do nich wagi i pijam bardzo mało. Nie lubię wina, którego używanie jest w zwyczaju w Anglii i Francyi. Powiedziano mi, że powinienem pić wino, inaczej dostanę tyfusu. Zrobiłem to i stałem się przez to nerwowym. Sądzę też, że przestrogi, co do tyfusu to także zachęta aby ludzie pili wino. Ale powinienbyś się pan kiedyś zapoznać z piwem angielskiem. Jego ciężar gatunkowy nie jest mniejszy niż ołowiu i jak ołów osiada też na dnie żołądka i tam pozostaje. Możnaby je użyć za balast dla angielskich okrętów, ale wtedy podróż przez ocean trwałaby 365 dni.“

„Panie Edison“ zapytałem, korzystając z tych zwierzeń gastronomicznych, „ile lat zamyślasz pan żyć?“

„Dziewięćdziesiąt“ odparł bez wahania. „Mój ojciec ma 87 lat i odbywa kursa po mil dziesięć dziennie, a wchodząc na schody wstydziłby się przechodzić tylko po jednym stopniu na raz. Mój dziadek żył lat 103 pomimo strasznego przyzwyczajenia, palenia tytoniu; co do mnie, jeżeli nie przeszkodzi przypadek, żyć będę przynajmniej lat 90.“

„Czemu palenie tytoniu wydaje się panu okropnem, czy sądzisz pan, że jest szkodliwe?“

„Przeciwnie, to był tylko żart. Ja sam nie lękam się go i wypalam dziesięć do dwudziestu cygar dziennie.“

„A nie działa to panu na nerwy?“

„Nigdy tego nie zauważyłem. Zarzuciłbym palenie, gdybym poczuł takie następstwa.“

„Po za czytaniem, jakich rozrywek pan jeszcze używasz?“

„Chętnie się śmieję, ale nie jestem zwolennikiem tańca, nie lubię licznych zgromadzeń, zwłaszcza jeżeli nie mogę w nich być niepostrzeżonym. Przy-

jemność robi mi dobra powieść, do teatru chodzę często z moją rodziną i chodziłbym jeszcze częściej, gdybym mógł słyszeć lepiej, co mówią aktorzy. Najlepiej bawię się na operetce. Tam rozumiem żart, widzi pan, tu mrugnął wesoło oczami, tam mogę zasiąść w krzesłach między łysemi głowami i dźwięki muzyczne dochodzą mnie bezpośrednio."

„Jesteś pan tedy zwolennikiem muzyki?"

„Tak, istotnie."

„Czy pan śpiewasz?"

„Dawniej śpiewałem, ale przy moich doświadczeniach z telefonem straciłem głos. Udało mi się to prawda, ale w skutek wysiłku pękła mi krtań," tu wynalazca zaśmiał się z własnego żartu.

Edison trzyma z pół tuzina koni, ale sam nigdy konno nie jeździ. Jego zdaniem koń jest przedmiotem zbytku, który za 25 lat para zastąpi.

„Jakiż jest cel twego życia, panie Edison? Co cię do życia przywiązuje, jaki jest ostateczny kres twoich usiłowań?"

Przy tem zapytaniu, które postawiłem na końcu, wynalazca głośno się rozśmiał i szukał oddechu, jak gdyby go ktoś uderzył w brzuch. Potem spojrzał na sufit wykręcił się na krześle i przez chwilę wyglądał oknem.

„Czy wiesz pan, odrzekł, że o tem nie myślałem właściwie nigdy w życiu, odpowiedzieć na to trudno" — a po krótkim namyśle dodał: „Z zupełną pewnością odpowiedzieć panu nie mogę; co mnie jednak w tej chwili nęci, to posiadanie wielkiego laboratoryum, w którem dopóki sił starczy dokonywałbym doświadczeń i użytecznych wynalazków. Jest w tem przecież nieco filantropii. Rzeczy, których się nie sprzedaje nie zachęcają mnie do pracy, gdyż wszystko, co niema odbytu w handlu nie osiągnęło szczytu powodzenia. Właśnie łatwość zbywania danego przedmiotu jest dowodem jego użyteczności, a użyteczność stanowi powodzenie".

Ta strona praktyczna istoty Edisona przejawiła się już w tysiącach wypadków i bezwątpienia nie mało się przyczyniła do jego wszechświatowej sławy. Ale, czy wielu ludzi zdobyłoby się na taką jak on odpowiedź, gdybyśmy zapytali o cele ich życia?

Edison żonaty po raz drugi, jest ojcem pięciorga dzieci, z których troje, córka i dwóch synów pochodzą z pierwszego małżeństwa, a dwoje najmłodszych córka w wieku lat sześciu i chłopczyk trzech i pół lat z drugiego. Jego życie rodzinne jest bardzo szczęśliwe, siedzibą Gleumont, która jak już wspominaliśmy tylko o parę kroków odległą jest od laboratoryum i ma otwarty widok na dolinę; nazwać by ją można zamkiem.

Edison lubi życie rodzinne i uwielbia swoją żonę, której piękność bardzo była podziwianą w towarzyskich kołach Londynu. Czas swobodny od zajęć przepędza wśród rodziny.

Z tysiącznych opowieści, krążących o Edisonie w okolicy Orangetown podajemy na zakończenie niniejszego szkicu jedną, najwięcej charakterystyczną. Opowiadał mi ją jeden z urzędników, który przez długie lata był pomocnikiem uczonego i za prawdę ręczy. Kilku najbogatszych kapitalistów amerykańskich słynny Gould, Dillon, Sloon i Cyrus Field przyszli kiedyś z wizytą do laboratoryum Edisona, aby przyjrzeć się experymentom, które odnosiły się do komunikacyi telegraficznej pociągów ze stacyą. Edison wyszedł ze swego gabinetu na powitanie tych panów. Podczas rozmowy przyszedł mu nagle do głowy pomysł, będący w związku z rozpoczętą właśnie robotą. Nie chcąc go zapomnieć, opuścił bez słowa tłomaczenia czterech panów, którzy przedstawiali kapitał wielu milionów dolarów i powrócił do swego laboratoryum. Gdy ci oddalili się wreszcie po długiem czekaniu, Edison znowu wyszedł i zapytał służącego: „Dokąd poszli ci biedacy?"

„Zeszli ze schodów" brzmiała odpowiedź.

„A więc odeszli?"

„Tak".

„To dobrze, nie będzie ich trzeba wciągać na górę".

Z bieżącej chwili.

— Petersburska akademia medyczna uchwaliła, iż zostaną dopuszczeni do egzaminów na stopnie naukowe aspiranci, którzy rozpoczęli egzamina na uniwersytetach, akademia nie będzie przyjmować rozpraw na stopień doktorantów z uniwersytetu. Do rady państwa złożono nowy projekt ustawy farmaceutycznej. W uniwersytecie odeskim otwartym zostanie wydział medyczny.

— Petersburskie Towarzystwo wolno-ekonomiczne urządza w roku bieżącym w różnych miejscowościach cesarstwa konkursy maszyn i narzędzi rolniczych. Najlepszym maszynom przyznane będą nagrody w medalach złotych, srebrnych i bronzowych. Uchwalono też projekt czynienia doświadczeń nad uprawą gruntu przy pomocy saletry chilijskiej. Jeden z członków Towarzystwa ofiarował na ten cel 600 pudów saletry.

— Komisya, pracująca w Petersburgu nad zreformowaniem ustaw sądowych, uchwaliła wniosek o konieczności zniesienia Izby oskarżeń, skutkiem czego zmniejszy się ilość urzędników sądowych.

— Na ostatniem posiedzeniu sekcyi muzyki kościelnej przy warszawskiem Towarzystwie muzycznem, odbytem pod przewodnictwem ks. Leona Moszyńskiego, postanowiono rozesłać odezwę do duchowieństwa, zachęcającą, aby zapisywano się do sekcyi. Uchwalono też wydanie kosztem sekcyi „Przewodnika" w wyborze dzieł muzycznych, ułożonego przez ks. Kowalskiego na użytek organistów i dyrygujących chórami.

— Zakład sierot dziewcząt, zostający pod opieką Tow. dobroczynności, liczy obecnie 80 wychowanek, że przecież lokal mieszczący się w głównym gmachu Towarzystwa stał się za szczupły i mieści się tuż obok zakładu starców i kalek, Towarzystwo zamierza wznieść dom oddzielny na pomieszczenie sierot.

— Na wystawie Towarzystwa Sztuk Pięknych zwraca uwagę świeżo nadesłany obraz Gersona „Odpoczynek". Jest to na tle leśnego krajobrazu nad brzegiem wody spoczywająca kobieta młoda i piękna, oddana z wielką prawdą życiową i wdziękiem ponętnym. Obok mieści się obraz Leopolda Pilichowskiego, nagrodzony na wystawie lwowskiej medalem bronzowym, także kobiety młodej, przeglądającej przy świetle lampy książki, rozrzucone na stole. Obok w półcieniu sędziwa matrona. Nieznany jeszcze artysta, Szykier-Siekierz, przebywający w Monachium, nadesłał mały, ale bardzo wdzięczny obrazek: „Do żniwa". Wóz drabiniasty, zaprzężony w cztery konie fornalskie, mieści grono dziewuch wiejskich, ładnych i wesołych; powozi dziarski parobczak. Wykończenie bardzo staranne i razem jest to rzecz swojska bardzo miła.

— Komitet przyszłej wystawy hygienieczuej uchwalił zozganizowanie podkomitetów we wszystkich miastach większych, oraz w punktach fabrycznych jak Łódź, Żyrardów, Sosnowice i inne, co przedstawia dokładny obraz hygieny ludowej, zwłaszcza, że zaproszono do współudziału redaktorów pism ludowych, znających życie ludu, oraz księży i lekarzy, zajmujących się etnografią i antropologią.

— Z pierwszym dniem bieżącego miesiąca rozpoczęły się w aptece M. Barcza przy ulicy Marszałkowskiej pod N-rem 94-tym nocne dyżury lekarzy, trwające od godziny pół do jedenastej wieczorem do siódmej rano, apteka również czynna w nocy. Dla ułatwienia komunikacyi zraprowadzono telefon.

— Na Woli ma się wznieść świątynia nowa, ponieważ kościół ś-go Stanisława, istniejący obecnie nie może pomieścić parafian, których jest około 5.000. Członkowie dozoru kościelnego odbyli sesyą pod przewodnictwem ks. plebana Siewerskiego, czego rezultatem było że dom ten boży powinien pomieścić 5.000 osób, koszta zaś wynosić mają 200.000 rs. Obradujący wyrazili zdanie, że pieniądze te znajdą się przy dobrej woli parafian, zwłaszcza, że w obrębie parafii jest kilka cegielni, których właściciele już się oświadczyli ofiarnością swoją, przytem istnieje kapitał zgromadzony ze składek 40.000 rs., a grunt pod budowę kościoła darował już p. Rodkiewicz na placu, zwanym Żółta Karczma. Wewnętrzne urządzenie świątyni też się da wykonać przy pomocy ofiarności naszych artystów.

— W kancelaryi szpitala Dzieciątka Jezus znajdują się portrety dobrodziejów i dobrodziejek tej instytucyi, już to współczesnych z założycielem szpitala, ks. Piotrem Bauduinem, już to późniejszych, których dary pozwoliły się rozwinąć tej dobroczynnej instytucyi. Widzieć tam można podobizny: Stanisława Augusta, Marcina Załuskiego sufragana płockiego, który ofiarował na szpital 3.000 zł. pol.; Franciszka Bielińskiego, starosty czerskiego wraz z małżonką, Krystyny z książąt Sanguszków; Anny z Osolińskich hr. Krasińskiej, obożnej koronnej; Kunegundy Czackiej z Sanguszków; Jana Klemensa Branickiego kasztelana krakowskiego i wielkiego hetmana koronnego, który dał ofiarniczo 20.000 zł. pol.; Jakóba Grządzielskiego dyrektora skarbu; ks. Augusta Czartoryskiego, wojewodę ruskiego; Joanny z Sałkowskich ks. Sapieżyny. wojewodziny smoleńskiej; Józefy z Morsztynów Ossolińskiej, starościny salejewskiej; Barbary z Duninów ks. Sanguszkowej, marszałkowej wielkiej litewskiej, która ofiarowała 30.000 zł. pol.; Kazimierza hr. Krasińskiego, wielkiego obożnego koronnego; Andrzeja Stanisława Załuskiego, biskupa krakowskiego z datą 1758 r.; Izabelli z Flemmingów ks. Czartoryskiej, oraz portret bez podpisu, mający wyobrażać prymasa, Michała Poniatowskiego. Obok tego znajduje się jeszcze sześć wielkich płócien, przedstawiających oblicza sześciu szczególniej hojnych dobrodziejów szpitala: Augusta III, Stanisława Augusta, księcia Ksawerego, królewicza saskiego; Hieronima Szeptyckiego, biskupa płockiego; Karola Krajnika, kanonika warszawskiego i płockiego; Józefa Sołohubę, wojewodę witebskiego. Oprócz tych starożytnych portretów znajduje się w kancelaryi wielki obraz, przedstawiający ks. Bauduina przed gmachem szpitala, z datą 1762 r.

— Zgromadzenie Koła Literackiego we Lwowie, wybrało na prezesa swego po ustąpieniu Kubali hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Fuudusz dla wdów i sierot po literatach, zostający pod zarządem Koła stanie się wkrótce instytucyą czynną, gdyż zebrany tundusz, 5.000 zł. reń., już będzie przynosił procent.

— Komitet dozoru sceny wybrany przez wydział krajowy, wydał polecenie, dyrekcyi teatru we Lwowie, aby wystawioną była wkrótce opera Żeleńskiego „Goplana."

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch". Przekład z niemieckiego ark. 6.

TREŚĆ: **Wykształcenie umysłu jako pomoc dla życia**, przez M. I.—**Fantazya**, przez Kazimierza Glińskiego.—**Kobieta w Stanach Zjednoczonych.** II.—**Bluszcz**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawalewicza (dalszy ciąg).—**Nowiny paryzkie**, przez A. Ch.—**Tomasz Edison**, przez E. Franka Dawey.—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Za cudzą winę, powieść przez autorkę powieści „Silny duch", przekład z niemieckiego arkusz 6-ty.—Przegląd mód. 15 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.—Варшава, 22 Февраля 1895 г.